

A man with dark hair and a beard, wearing a dark shirt, is shown in a bathroom. He is looking down with a serious expression, his hands clenched into fists. The background features a wall with a light fixture and a large, shattered mirror. The scene is dimly lit, with a greenish tint.

Karolina  
Kasprzak-Dietrich

Stąd  
nie ma  
wyjścia

**Karolina Kasprzak-Dietrich**

Stąd  
nie ma  
wyjścia

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich 2025

Redakcja i korekta: Magdalena Pietrzyńska-Ogórkiewicz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-972660-3-2

Wydawca:  
Karolina Kasprzak-Dietrich

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.  
Wydanie I 2026

## **BIAŁE RĘKAWICZKI W SZKOLE**

Ofiara nękana  
tłamszenie psychiczne  
sponiewieranie  
śmiech dziki nerwowy sztuczny śmiech  
zabójców  
nigdy nieukaranych  
zbrodnie doskonałe...  
Jak długo wytrzyma ofiara  
nim zamknie swe oczy na własne żądanie?  
Kogo obwinia?  
Znajdą zbrodniarza?  
Rozgrzebując rany martwego przyjaciela  
zapłaczą nad trumną  
powiedzą „był słaby”  
wymyślą prawdy  
siebie bieląc  
udając patrzenie inaczej  
Nikt się nie przyzna  
tylko wiatr i cztery ściany  
znają psychicznego Piłata  
przepadnie  
nieśmiertelna woń po nim zostanie  
w pustym od dobra pomieszczeniu...

Karolina Kasprzak-Dietrich

# Rozdział 1

## **Od zawsze chciałem zostać policjantem – jestem człowiekiem prawa**

Na zewnątrz było słonecznie, a na niebie widniały śladowe kępki białych obłoków. Koniec marca był bardzo wyrozumiały dla mieszkańców Gniezna, rekompensując im szkody po zimie, gdyż ta zdążyła już swoje skruszyć, jak na przykład kawał betonu zaraz przy bloku. Uszkodziła też kilkunastoletnią tuję rosnącą tuż pod balkonem Oliwiera. Lubił na nią patrzeć, a teraz zbrązowiała nie wiedzieć kiedy, w okamgnieniu. I tak wolał spoglądać w okno w kuchni, bo stamtąd było widać cmentarz.

Oliwier był niezwykle spostrzegawczy i nawet empatyczny, teraz jednak bez większych emocji ominął rdzawe drzewo. Szedł do mamy na cmentarz i było mu niebywale miło, ponieważ dużo pięknych rzeczy zaczęło się dziać w jego życiu. Po paru minutach szybkiego spaceru poczuł na plecach drobne kropelki gryzącego potu i na moment się zatrzymał, by po chwili znowu ruszyć naprzód pewnym krokiem.

Już znajdował się po drugiej stronie ulicy, która dziś nie była tak ruchliwa jak zazwyczaj, i zszedłszy obok schodami w pobliski tunel prowadzący na Cmentarz św. Krzyża, poczuł najpierw odór, a potem upragniony chłód. Rozejrzył się przez moment na bezdechu i zobaczył porozrzucone puszkę po piwie, kolorowe papierki po łakociach, opakowanie po tanich papierosach oraz mnóstwo petów. Nie przeraziło go tak nawet nowe graffiti z wizerunkiem trupiej czaszki jak ten zwyczajny bałagan.

Przyspieszył kroku. Tunel nie był za długi, miał może z kilkanaście metrów, jednak to nie było ważne, bo Oliwier w tym momencie miał ochotę wtargnąć tutaj którejs nocy, możliwie jak najszybciej, i wszystkim gniesznińskim łobuzom jak leci wlepić mandat. Jednak musiałby być wtedy z jakimś kolegą, a najlepiej z Matyldą, bo sam raczej by na to nie odważył. Może nawet nie chodziło o jego bezpieczeństwo, a bardziej o sterylność, o to, żeby chuligani nie pobrudzili mu radiowozu ani munduru.

*Wiadomo, że ludzie, którzy się gromadzą pod mostem, są pod wpływem różnych używek, brudni, zasmarkani, osikani, nie mają żadnych skrupułów ani granic. Mogą nawet zwymiotować na wycieraczkę, a ich późniejsze „przepraszam” w niczym nie pomoże – pomyślał.*

Mogliby go wytargać, opluć, pobić i żaden paragraf nic by nie dał. Może nawet cieszyliby się, będąc zamknięci w areszcie, bo mieliby darmowy wikt i opierunek. Kto

nie ma szacunku do siebie, a tak postrzegał meneli, nie ma też szacunku do innych ludzi ani przedmiotów. Z takiego wychodził założenia, tego nauczyła go mama.

*Jeszcze kilka kroków i wyjdę z tego śmieciowiska* – myślał, przekładając przewieszony przez ramię płaszcz w stylu militarnym. Jeden, dwa, trzy stopnie w górę i Oliwier zobaczył przebłysk słońca, a zaraz potem zieloną trawę. Wyszedł z tunelu, pozostało mu tylko szybkie przejście przez pasy i wnet znalazł się przed cmentarną bramą.

Wziął głęboki oddech i stanął nad jej grobem. Tęsknił za rodzicielką. Choć starał się być u niej codziennie, to czasem wydawało mu się, że to i tak nie wystarczy, by opowiedzieć jej wszystko, co czuje, by ukoić ból serca, pogrzebać tęsknotę.

Grób położony był zaraz przy bramie wejściowej, pod starą, pochyloną lipą. Oliwier nie potrafił określić, ile dokładnie lat mogła mieć owa lipa, że większość odwiedzających cmentarz zwało ją starą, ale na jego oko z setkę miała. O jej leciwości wspominał mu też miejscowy grabarz – pan Włodek.

Mama Oliwiera otrzymała miejsce po nijakiej Gąsiorowskiej Genowefie, kobiecie urodzonej jeszcze u schyłku XIX wieku, a że nikt o grób Gieni za bardzo nie dbał, to na zajętym już na każdym metrze cmentarzu ulokowano tam jego mamę. Nie wyobrażał sobie, co by było, gdyby do tego nie doszło. Chciał mieć ją blisko siebie, swojego mieszkania.

Odkąd zmarła, przychodził na cmentarz i zwyczajnie z nią rozmawiał, zapaliwszy dwa dobowe znicze. Jeden dla niej, a drugi dla pani Gieni, tak ku jej pamięci i z wdzięczności, że zwolniła miejsce jego rodzicielce. Te dwa znicze kładł równolegle do siebie, w niewielkiej odległości, dzięki temu, kiedy wytężył wzrok, mógł spoglądać na grób matki z okna kuchennego swojego mieszkania, mieszczącego się na siódmym piętrze, jak i z okien klatki schodowej.

Miał stamtąd dobry widok, zwłaszcza kiedy robiło się już ciemno i zimową porą, bo drzewa były wtedy pozbawione liści. Z kolei latem poprzez gęstą koronę zielonych gałęzi trudno mu było cokolwiek zobaczyć, dlatego częściej patrzył jedynie oczami wyobraźni. Starą lipę widział przez cały rok – traktował ją niczym swój drogowskaz, mapę. To na nią kierował wzrok, by ujrzeć więcej.

Oliwier nie wyobrażał sobie dnia, w którym nie spojrzalby w tym kierunku, kiedy nie wypowiedziałby z serca choć jednego słowa do mamy. Czasem był pewien, że go słyszy, jednak tego wolał nie opowiadać znajomym. *Jakim znajomym?* – poprawił się w myślach. Nie miał ich zbyt wielu, nie chciał ich mieć ani nie szukał. Skupił się na pracy. Brakiem czasu czas wypełniał, a podejrzliwość i nadgorliwość to były jego, jak twierdził, atuty.

*W tych czasach nie ma kumpli, wszystko to prowizorka, życie na pokaz i wyścig szczurów, a te najlepsze i najszybsze szczury i tak u mety wzajemnie się podżerają, bo*

*są nieustępliwe. Tak było, jest i będzie zawsze i wszędzie.*

Dlatego dobrze jest czasem oddać się pasji, którą u niego ostatnio był flet.

Usiadł na ławeczce, był pewien, że już niebawem przybędzie do matki z nowym instrumentem i zagra jej ulubioną piosenkę – *Wsiąść do pociągu* Maryli Rodowicz. Już coś tam mu nawet wychodziło z dźwięków, które całą przeponą wydmuchiwał. Instrument wybrał droższy, posrebrzany. Kiedyś chciał zostać muzykiem, ale artyści nie zarabiają zbyt wiele, zdobywają jedynie uznanie, dlatego zdecydował się na bycie policjantem – był sprawiedliwy.

Teraz, żeby wypełnić pustkę, bo jednak warto być w stu procentach spełnionym, wybrał naukę gry na flecie. Mieszkał w bloku i jego zdaniem to jedyny instrument, który nie będzie nadto drażnił sąsiadów. Oliwier nie chciał się nikomu narażać.

Dziś przyszedł do mamy, aby się pochwalić, że wczoraj awansował – został mianowany na pierwszy stopień oficerski. Szkolenie zawodowe zdał bez problemu i otrzymał również podwyżkę. Wiedział, że mama byłaby z niego dumna, był jak ona pracowity, skrupulatny i rzetelny. Wszelkie wnioski i protokoły wypełniał dokładnie i czytelnie, a nie bazgrołąc tak, że czasem śledztwo trzeba było umorzyć, bo nikt nie potrafił rozszyfrować dokumentacji. Tak było ostatnio z „Belzebubem”, handlarzem narkotyków. Niczego nie dało się odczytać z winy śmierdzącego Heńka, który pracę traktował jak zło konieczne.

Z Oliwierem nie szło tak łatwo. On wzywał, przesłuchiwał, zwalniał, wnioskował, protokołował – wszystko *lege artis*. Praca w policji nie była trudna, tylko wymagała poświęcenia, a jego znajomi zdecydowanie nie potrafili się poświęcić. Każdy chciał wyłącznie zrobić swoje i heja do domu, przed telewizor oglądać mecze.

To już trzeci rok jak pracował na gnieźnieńskim posterunku i codziennie szedł spać z czystym sumieniem. Nieraz miał kryzys, ale uparł się i dążył do celu, stale podnosząc sobie poprzeczkę. Poza tym był bardzo zdeterminowany, od zawsze wiedział, czego chce, miał świadomość, że jako jedyny w klasie licealnej, ba! nawet teraz był bardzo nastawiony na sukces. Miał wiedzę, która jest kluczem do wszelkiej obfitości. Wiedział też, co czytać, a jego ulubionym autorem był między innymi David Vessel, agent specjalny FBI i instruktor policyjny, więc uczył się z podręczników od najlepszych.

Oliwier wspominał gangstera Winiarskiego „Wieprza”. W zasadzie powinien być mu wdzięczny, bo to dzięki jego sprawie awansował i mógł się pochwalić matce.

– Wiesz, mam – zaczął szeptać. – To było w zeszłym miesiącu na przesłuchaniu, kiedy najpierw poprosiłem o wyniesienie z pomieszczenia wszelkich przedmiotów, w tym obrazków, a nawet śmietnika, żeby tylko podejrzany nie miał na czym oka zawiesić, nie mógł rozpraszać ani siebie, ani mnie, i wzięłem drania w obroty. Ale jeszcze przed tym kilkakrotnie wnioskowałem o ukaranie głównego świadka, jego dalszego kuzyna, bo nie

wstawiał się na przesłuchania. Kara była coraz to wyższa i za trzecim razem przyszedł, ponieważ zawnioskowałem o areszt. Tłumaczył się tym, że ma prawo odmówić składania zeznań, gdyż podejrzany to jego bliska rodzina. – Policjant mówił jak do żywego i machnął ręką. – Jaka bliska? Siódma woda po kisielu. Wiesz, to pobicie było straszne, facet stracił oko. Albo wyłudzenie. Słuchaj, mamó, do czego ludzie są zdolni.

Oliwier wczuł się w rolę, nawet się nie rozejrzył dookoła, czy ktoś słyszy to, co mówi.

– Od początku ta sprawa śmierdziała mi na odległość. Podejrzewałem dziada już chyba o wszystko, ale wcale nie wpadł przez narkotyki. Chodziło o podpalenie budynku mieszkalnego, by wyłudzić odszkodowanie. Pieniądze były kolosalne, a śledztwo już prawie umorzono, że niby był to nieszczęśliwy wypadek, że zawiniła instalacja elektryczna, tylko po gnojku nie było widać zmartwienia. A ci strażacy to jakieś matole. Wiem, że u nas, owszem, zdarzają się tacy częściej, ale co to za straż pożarna, która nie przeprowadzi należycie oględzin ani swojego śledztwa?

Oliwier podczas tego przesłuchania dał z siebie wszystko, zadbał o każdy szczegół, choć jedynej praktyki, jakiej nie uznawał, to wyżej on siedzący na swoim krześle, a niżej przesłuchiwany. Wolał być na równi, nie miał manii wyższości. Zważał jednak na każde słowo podejrzanego, wiedział, jak ważne są nawet zaimki dzierżawcze; wiele razy to podkreślał.

– Wieprz przez większość wypowiedzi mówił „mój dom”, „mój samochód”, ale gdy wspominał o domu jako pogorzeliisku, to nagle z najbliższym kuzynem, u którego tej felernej nocy spał, już nie sam, ale razem usłyszeli dźwięk syren strażackich. Może na to czekali. Nie powiedział „usłyszałem”, ale „usłyszeliśmy” – to słowo było kluczowe. Mamo, to dzięki temu wiedziałem, że jest winny. Jeśli podejrzany zmienia zaimki lub całkowicie je odrzuca, to ma coś na sumieniu, tak pisało w tej książce, no wiesz której – zwracał się do niej, jakby siedziała obok. – „Opuściłem swój dom”, „wykonałem parę telefonów”, ale „usłyszeliśmy...”. Czytałem o tego typu konfabulacjach, kryminaliści są cwani, ale ja czujny i wyuczony. Wieprz jest podłym kłamcą, podpalił swój dom, nie zważając nawet na pamiątki rodzinne. Jego dzieci do tej pory są pod opieką psychologa. Normalna świnia z niego, nie obrażając świń. Zresztą zdemaskowanie drania nie było takie trudne, bo podczas przesłuchania skupiał się bardziej na wydarzeniach sprzed podpalenia, nawet na tych niemających związku z pożarem. Dlaczego wcześniej policjanci tego nie zauważyli? Może to i dobrze, bo to znaczy, że jestem najlepszy, że diabeł tkwi w szczegółach, a ja dzięki tobie o tym wiedziałem. Zawsze przestrzegaliś mnie przed diabłem, to dlatego wciąż chodzę z różańcem w kieszeni, niech się ze mnie śmieją.

Oliwier na moment ucichł, wdychając powietrze, i dodał:

– Bilansowałem zeznania, analizowałem rzeczowniki, czasowniki, zaimki. Wiedziałem, jakie informacje nie są odpowiedziami na pytania, brałem pod uwagę brak przekonania rozmówców, w tym wypadku podejrzanego i świadka, dlatego potrafię zdemaskować wszelkich kłamców.

Koledzy starsi stażem tylko się chwalili, że są zdolniejsi od Oliwiera, a w rzeczywistości tak nie było. On wołał wziąć się do roboty, za dużo przy tym nie mówiąc.

Przegonił ręką muchę, która przeleciała mu przed nosem, chcąc najprawdopodobniej na nim usiąść, i tym samym zmienił temat.

– Mamo, jak się czujesz? Jak ci tam jest? Tylko przy tobie mogę być sobą i czasem okazać słabość. Uwierź mi, mamo, że bardzo mi ciebie brakuje. – Zamilkł na moment. – Widzisz to wszystko z nieba, pilnujesz mnie, a ja nawet nie wiem, o co mógłbym cię prosić. Może ten awans to twoja zasługa? Tak sędzę. Dziękuję. Nie wskrzeszę cię, a tylko ty jesteś mi potrzebna do szczęścia, wszystko inne już mam. Dobrą pracę, mieszkanie, zdrowie, choć to akurat może się skończyć, ale jestem silny, to już wiesz. Uczę się grać na flecie, dla ciebie. Tak na wszelki wypadek proszę cię o żeliwne zdrowie – szeptał z uśmiechem na ustach.

Zawsze będąc przy jej grobie, czuł taki spokój, jakby jakaś niewidzialna dłoń obejmowała go, dając mu siłę i nadzieję, że to, co najlepsze, jest ciągle przed nim. Miał dobre dzieciństwo – takie zapamiętał. Ponoć w złych

wspomnieniach mieszka szatan, a Oliwier od zawsze był bogobożny. Już od szkoły podstawowej był ministrantem i wiele wartościowych nauk usłyszał od ulubionego księdza proboszcza, które do dziś nosił w sercu. Wszystko nas kształtuje, każdy ma swoją podróż do odbicia, a życie to cud. Oliwier zawsze kierował się sprawiedliwością, o którą z każdym rokiem było coraz trudniej. Ludzie głupieli na potęgę.

Usłyszał dźwięk telefonu. Dziś miał wolne, ale był nader obowiązkowy. Choć kieszonka w kurtce, którą miał teraz przewieszoną przez kolana, była ukryta, wyciągnął go i zobaczył esemesa.

Miał ochotę zapłakać, czuł się osaczony.

\*\*\*

## **Morderca**

### **Nic nie zaprowadzi cię dalej niż zwyczajna chęć zemsty**

Dzisiejszy dzień bardzo mnie wyczerpał. Ze wzmożoną uwagą obserwowałem ich wszystkich, całą siódemkę, którą chcę unicestwić. Każdą drobną twarz, wcześniej wyciętą z klasowego zdjęcia, przykleiłem do białej sztywnej kartki i patrzyłem na nie, planując. Jednego już nie było, ale to ciągle pozostawała ta sama siódemka,

która wyryła w mojej głowie wielką, stale rozwartą ranę. Siedem to cyfra, która jest wyrocznią, cyfra biblijna, a ja mówię na nią „siekiera”.

Marcin już został skreślony czerwonym krzyżykiem. Teraz kreśliłem kolejny. Obserwuję ich życie w środowisku, które doskonale znam, ale i też śledzę w internecie, tak jak zaraz znów miałem zamiar to zrobić.

Często mam ochotę ich dosłownie porąbać jak drewno na opał. Codziennie widzę ten obraz oczami wyobraźni. Czy mógłbym tego uniknąć? Pewnie... Być może.

Matka. Każdy z nich miał dobrą, tylko mnie los skrzywdził. Wystarczyłoby, aby choć raz przyszła na moje zawody, mecz, cokolwiek. Choć raz chciałem ją tam ujrzeć. To jej wina.

*Nie szukajmy winy w innych* – pouczyłem się w myślach.

Odłożyłem kartkę z ich wizerunkami na bok i szybkim ruchem myszki przeskoczyłem po kilku okienkach maszyny wirtualnej, upewniając się, że połączenie zostało dobrze skonfigurowane. *No cóż* – pomyślałem – *nastał czas przygotowania narzędzi pracy*. Jednym wpisem w terminal dokonałem zaktualizowania systemu, a następnie zatarłem ręce, by za moment swobodnie postukać paliczkami w blat biurka. Żadnych śladów, tych w realu ani tych w internecie. Musiałem wykazać się sprytem, ale to nie było trudne. Samotnie wychowujące się dzieci nauczone są kombinować, mają dużo czasu, nikt ich nie kontroluje.

Podpiąłem się pod obcy serwer. I w tym mam doświadczenie. Jestem wysokiej rangi specem od wszystkiego, tak się ukształtowałem, a może to z chęci zemsty. Im większa chęć, tym dalej nas zaprowadzi. Wszedłem na znany portal Nasza Klasa i wpadłem w sidła tego, co już od dawna było koniecznością.

Mam to we krwi. Od kiedy dokładnie? Od liceum, a może i nawet od czasów szkoły podstawowej, choć tam jeszcze nie było aż tak źle, tam aż tak mnie nie nienawidzili. Tylko te paskudne plotki, one wszystko psuły, przeciekły jak woda przez szczelinę i nie dało się ich powstrzymać.

W podstawówce uczniowie jako tako potrafili zachować klasę, jeśli mogę tak to nazwać, byli bardziej bojaźliwi, trzymali język za zębami, bali się konsekwencji, a może zwyczajnie byli dobrze wychowani. Wiedzieli, że milczenie jest złotem. Poza tym kiedyś panowała inna kultura wychowania. Potem z każdym rokiem w latach dziewięćdziesiątych ludzie stawali się coraz bardziej zepsuci, rozbrykani, nowobogacy, dlatego padłem ofiarą w liceum. I to przez kogo? Przez własną niedojrzałą emocjonalnie matkę. Była moim przekleństwem.

Usłyszałem dźwięk telefonu. Na ekranie pojawiło się imię „Monika”, lecz nie odebrałem, nie chciałem tego robić w tym momencie.

*Choć siostra jest moją jedyną ostoją, nie dziś. Dziś zapinam operację „Siekiera” na ostatni guzik. Oddzwonię do niej nazajutrz, jeśli się uda, to z samego rana.*

Chciałem ją chronić przed swoimi złymi nastrojami i zachowaniami. Tego wieczoru musiałem czuć się jak dawniej, samotny i opuszczony, musiałem wspominać, analizować oraz planować. Im większy ból odczuwam, tym moja zemsta jest kreatywniejsza. Może szukam usprawiedliwienia, może poklasku, a może hamulca. Nie, takowy nawet jeśli istnieje, już mnie nie zatrzyma. Czynię swoją powinność, bo nie ja to ruszyłem, tylko oni, to ich wina.

Mimochodem spojrzałem na niebiesko-biały ekran komputera i wpisałem uniwersalne hasło. Odkąd zacząłem zabijać, to tak jakbym wpadł we wnyki hazardu, pochłonęło mnie to definitywnie, pokochałem unicestwianie ludzi. Kiedy stworzę plan, a on się powiedzie, to ciągle wyznaczam sobie nowe ofiary i tworzę większe plany.

Lista moich ofiar niby pozostaje zamknięta, ale stale się wydłuża. Pierwszą z nich, niezwiązaną z operacją „Siekiera”, była dziewczyna z rowerem, zwykły przypadek. Znałem ją od dłuższego czasu z widzenia, miała czerwony rower i najzwyczajniej w świecie mi się spodobała. Byłem wtedy studentem, ciągnąłem dwa kierunki, w tym właśnie psychologię, która do dziś bardzo mi się przydaje.

Czy to widok jej porcelanowego lica mnie zachęcił, czy może pierwiastek mordercy drzemał we mnie już od dawna? Może nawet od samego urodzenia, może wysłałem go z mlekiem matki? Może ten morderczy instynkt nabyłem wraz z pierwszą przykrością, jakie

sprawiała mi tuzinami? Czyż nie było tak, że już od najmłodszych lat przez brak dojrzałości rodziców, głównie rodzicielki, wielokrotnie narażony byłem na śmierć? Co z tego, że matka nie była świadoma i że były ciężkie czasy PRL-u? Inni rodzice pomimo tego potrafili kochać swoje dzieci i należycie się nimi opiekować.

Wszystko kręci się wokół miłości, bez niej nic nie znaczymy. W zasadzie od dziecka musiałem uczyć się wszystkiego sam, aż nauczyłem się zabijać do perfekcji.

Dlaczego rower? Zapewne to trauma z dzieciństwa. Ta jedna czteroletnia sąsiadka, rok młodszą ode mnie, już wtedy wiedziała, że jestem żalosną kupą wstydu, i celowo przejechała po moim ciele swoim rowerkiem na czterech kółkach, a potem się cofnęła, by poprawić. Nikt mi wtedy nie pomógł. Z czasem przestałem obawiać się śmierci, nie czułem już przed nią strachu.

Tę dziewczynę, którą zabiłem jako pierwszą, obserwowałem od dłuższego czasu. Nosiła zawsze ładne sukienki, codziennie inne: dłuższe, krótsze, w kwiatki, romby, groszki, wachlarz kolorów, a nawet mini. W tamtym czasie podejrzewałem, ponieważ nie znałem jej korzeni, że pochodzi z dobrego domu, bo rower, którym jeździła, wyglądał na drogi. Musiałem obmyślić taki plan, który będzie skuteczny, i nie uda się mnie schwytać. Tę zbrodnię traktowałem jak rozgrzewkę – miałem już sporo wiedzy, ale praktyki żadnej. Tylko opatrność mi sprzyjała, czułem, że jestem narzędziem w jej rękach.

Plany psuje rutyna, dlatego pierwsza zbrodnia była nader doskonała.

Ludzie z patologicznych rodzin mają dobrą intuicję, dlatego moja, jak zawsze, mnie nie oszukała. Tylko potem trochę się wszystko skomplikowało. Dowiedziawszy się z gazet, że denatka była córką miejskiego radnego, sam chciałem się zgłosić na policję. Miałem jednak szczęście, bo w tamtym czasie – rządu znienawidzonej partii – służby nie pracowały należycie, zaś śledztwo umorzono.

Musiałem działać! Niby dwa słowa, a jednak jako młody student z bagażem złych doświadczeń musiałem się też nakombinować. Zaznaczam, że jeszcze wtedy nie miałem żadnych znajomości, choć i tak na studiach traktowany byłem o niebo lepiej niż w liceum, gdzie w białych rękawiczkach próbowano mnie zamordować. Byłem lepszy od najlepszych policjantów, miałem wycucie sytuacji i intuicję, a tego nie nauczą żadne podręczniki. Chociaż śledczy i tych nie czytają ze zrozumieniem.

Na studiach nauczyciele widzieli we mnie potencjał, a uczniowie byli tak samo zdeterminowani jak ja. Nikt tam nikogo nie szykanował, a słabeusze sami się wykruszyli. Nikt nie drążył w przeszłości, nie oceniał tego, z jakiego pochodzi się domu ani jakie nosi się ubrania, choć ja dziwnym trafem zawsze byłem gustownie ubrany. Miałem na to środki, bo spieniężyłem coś, co ojciec przekazał mi w spadku. Zresztą kochałem się w ciemnych kolorach, a te niezmiennie dobrze się prezentują. Miałem gust, bo wcześniej byłem biedny – ludzie bogaci

go nie mają. Ponadto cieszyłem się dobrą aparycją. Wyrobiłem ją sobie, żyłem na pokaz, ale to się sprzedawało w tamtych czasach, podobnie, jak sprzedaje się i w tych.

Później się dowiedziałem, że dziewczyna z rowerem miała na imię Gosia. Ciągle jeździła do szkoły jedną trasą – z ulicy Kawiary na ulicę Witkowską, do północnej części mojego miasta. Musiała przejechać przez brzydkie, zarośnięte i zaniedbane przez spółdzielnię mieszkaniową parczek, gdzie kryłem się codziennie za jednym starym budynkiem, by ją obserwować. Zaplanowałem, że właśnie tam ją dorwę, najlepiej w drodze powrotnej ze szkoły, kiedy jej mamusia będzie czekać na nią z obiadem.

Tego dnia nie było żadnych przechodniów, nawet bezdomnych psów czy kotów ani tej podstarzałej kobiety, która wracała z pracy w fabryce bombek i która sama miała tak zwaną bombę. Nie wiem, czy piła tam, czy może wracając do domu, popijała z piersiówki, ale idąc, zataczała się tak samo jak kiedyś moja matka. Zaobserwowałem, że już w drodze do pracy miała zapuchnięte powieki, wielki czerwony nos i porowatą twarz – była nie tyle pijaczką, ile alkoholniczką. Pociuszający był fakt, że taki świadek to żaden świadek.

To musiało się stać w ciągu niecałej minuty, kiedy dziewczyna miała przejeżdżać rowerem, a pijana kobieta jeszcze znajdować się na chodniku przy Witkowskiej. Dla jasności, jej nie zamierzałem zabijać. Ona miała żyć i cierpieć.

W swoim debiucie chciałem działać szybko, wyskoczyć zza szarych murów, podbiec i poderżnąć rowerzystce gardło. Tylko tyle, resztą miała zająć się policja i zajęła się tak, że minęło wiele lat, a do dziś nie znaleziono sprawcy. Nikt nic nie podejrzewa, nie ma śladów – nie ma zbrodni.

Choć teren obserwowałem od tygodni, to żadne oględziny nie stwierdziły tam mojej obecności. Słabo się starali, jak zawsze. Miejsce z tych bardziej niebezpiecznych, a jednak nikt z zarządców nie zdecydował się zamontować kamery, nawet po tym „incydencie”. Córka radnego, a same łamagi pracowały nad śledztwem, rozdeptali największy dowód rzeczowy, ślady moich ulubionych czerwonych Martensów, niemniej jednak wtedy dość często padał deszcz.

To zabójstwo wciągnęło mnie tak bardzo, że przez parę kolejnych miesięcy żałowałem, że nie zrobiłem czegoś więcej, na przykład nie wydłubałem dziewczynie oczu czy nie oskalpowałem jej. Miała takie ładne długie włosy, często jeździła z rozpuszczonymi i odnosiłem wrażenie, że gdyby mocniej przechyliła głowę w tył, to końcówki wkręciłyby się jej w szprychy. Oczy też miała ładne: niebieskie, okrągłe, duże.

Zawsze się zastanawiałem, czy jeśli ludzie mają duże oczy, to widzą więcej. Chyba lepiej, że moje są małe, bo może gdybym więcej widział, to i więcej bym zabijał. Tak, moje oczy są wąskimi szparkami, choć kształtem przypominają migdałek, ale wzrok mam sokoli.

Dopiero na studiach się dowiedziałem, że wielkość oczu nie ma znaczenia w procesie postrzegania. Kobiety jednak mają szersze widzenie obwodowe, natomiast my, mężczyźni widzimy więcej szczegółów i szybciej zauważamy ruchome obiekty, a to jest mi najbardziej potrzebne w mojej misji zabicia ich wszystkich.

Kiedy podbiegłem do dziewczyny i wyjąłem maczetę, usłyszałem tylko jeden jęk. Po chwili padła jak kawka, a na nią osunął się rower. Uciekłem za budynek, który był zarośnięty drzewami. Teren z wielkim potencjałem, a do dziś wygląda jak wielki, półhektarowy śmietnik.

To było siedem lat temu – cholerne siódemki przesładują mnie już od najmłodszych lat. Myślałem wtedy, skryty za obszupanym murem starego budynku: *ja teraz korzystam, a Gośka traci*. Stałem tak z pół godziny, patrząc, jak ciało zamordowanej sztywnieje. Z daleka wyglądało niczym wyrzucony worek ze śmieciami.

Pijana kobieta tego dnia się nie pojawiła. Może jak każdy poszkodowany przez życie też miała swoją intuicję i została w domu.

Nie oskalpowałem dziewczyny z rowerem ani nie wdłubałem jej oczu, ale byłem pewien, że kolejna ofiara nie będzie miała tyle szczęścia. Zbrodnie mnie wciągnęły, byłem przesiąknięty złem, które życie we mnie wtłaczało, odkąd pamiętam.

Już planując ten pierwszy mord, a byłem wtedy nieco dziecinny, różne rzeczy sobie wyobrażałem, na przykład jak dziewczyna jedzie rowerem pod górkę, a ja skuterem

z górki i przejeżdżam po niej kilka razy, słysząc, jak łamią się jej kości czaszki. Miły był to dźwięk dla mego ucha. To wyobrażenie wciąż jeszcze tkwi w mojej głowie, a lista ofiar z każdym dniem się wydłuża, więc może kiedyś, już motorem...

Wraz ze zdobywanym doświadczeniem zacząłem doświadywać się coraz więcej na temat moich przyszłych ofiar. Kiedy obieram sobie kogoś za cel, to nie ma odwrotu, brnę w to jak ćma lecąca do światła. Zabiwszy dziewczynę z rowerem, dopiero w gazetach przeczytałem, kim była. Teraz nie ma takiej możliwości, żebym wcześniej się nie dowiedział, kim jest moja ofiara, ani nie poznał innych kluczowych informacji na jej temat, przynajmniej do dwóch pokoleń wstecz. W każdej rodzinie jest jakaś zakała, której istnienie usprawiedliwia moje czyny.

Obowiązkiem każdego mordercy jest zatrzeć wszelkie ślady. Wiedziałem to już w liceum, chociaż wiedzę przyswajałem bardzo opornie, ale nie przez to, że byłem nierozgarnięty, tylko przez nich: Liwię Kownacką, Marcina Majewskiego, Stanisława Janickiego, Eryka Jęzorka, Annę Zajdel, Dankę Janik i Oliwiera Kondziolkę.

Gdyby tylko potrafili powiedzieć „przepraszamy”, teraz czułbym spokój. Wiele razy wyobrażałem sobie, a może to było marzenie, choć nie wierzę w marzenia, że wchodzę do klasy, a oni stoją w półokręgu z Bierską na czele. Belferka wręcza mi bombonierkę i razem mówią: „Przepraszamy, jesteś fajny, lubimy cię!”. Gdybym usłyszał z ich ust to magiczne słowo, nie byłoby teraz operacji

„Siekiera”.

Mało kto zdaje sobie sprawę, co oznacza wejść do budynku, w którym się jest znieawidzonym, jak bardzo człowiek chce się wtedy schować, wnikać w ścianę i zniknąć. Drżą mu ręce, ma zatkanie gardło, jest blady, osłabiony, a musi udawać silnego. Pragnie uciec, bo nawet nauczycieli cieszy jego porażka, ale nie ma dokąd, ponieważ w domu mieszka z toksycznym rodzicem.

Nie miałem swojego azylu.

Na szczęście z wychowania fizycznego byłem bardzo dobry, co stało się doskonałym fundamentem moich przyszłych działań. Wszelkie testy zręcznościowe zawsze zdawałem na piątkę, więc teraz mam sporą przewagę nad ofiarami.

Scena z rowerzystką bardzo mi się spodobała i w mojej głowie wyklął się plan na dalsze morderstwa. Choć jeszcze tego nie wiedziałem, uważam, że podświadomie do tego dążyłem, to znaczy chciałem zniszczyć ICH, pozostali byli tylko przystawkami, może dla odwrócenia uwagi policji.

Wyrwany z zamyślenia spojrzałem na portal Nasza Klasa. Na koncie Liwii Kownackiej nie było nowych zdjęć ani postów, tylko ten z wczoraj, zapowiedź jej urodzin, a co się z tym wiąże hucznej imprezy, którą zamierza zorganizować w knajpie w centrum Gniezna. Trzymam rękę na pulsie.

Szybko się wylogowałem i postanowiłem wyjść na spacer, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Niebo było granatowe, pachniało deszczem, troszkę też bagnem, jak zawsze w tej okolicy pomimo szerzącej się deweloperki. Lubię ten zapach, choć nikogo jeszcze nie utopiłem.

Siedem upadków, siedem aniołów, siedem lat nieszczęścia, siedem zgonów.

– Sieeekieeraaa – wyszeptałem.